

W odpowiedzi na mój protest przeciw udzielnianiu niedawnej historii przez p. premiera Sławoja Składkowskiego (*Wiadomości* nr 834) otrzymałam kilka prywatnych pochwał i jedną publiczną naganę (por. list Stanisława Nowackiego w nr 838/839). Wielka szkoda, że nie znalazł się nikt, kto by zechciał wyręczyć mnie w prostowaniu twierdzeń p. Nowackiego. Jest źle, kiedy tematy, zaliczane do gatunku „drażliwych”, porusza zawsze tylko jeden garnitur autorów. Nie źle, broń Boże, dla tych autorów. Cudze milczenie wznosi im postument! Ale jest źle dla opinii publicznej. Daje jej to pretekst do uchylania się przed przyjmowaniem do wiadomości niemiłych prawd, przypisywania ich czyimś tam, jednostkowym „widzimisię”. Gdyby przez takie uchylanie się można było poprawiać historię, zdarzenia, fakty! Takiego, co mówi: „deszcz pada”, warto by może było zakrzyczeć, jeśli się od tego zrobiło słońce. Metoda jednak jest równie nieprzydatna w meteorologii, jak w polityce. To co było by, czego nie było nie stworzy się post factum, a błędne mniemania przyczyniają się tylko do brnięcia w dalsze błędy i katastrofalne sytuacje.

Tzw. „postęp” w stosunkach międzyludzkich — społecznych, politycznych, międzynarodowych — jest tylko rozeznawaniem i naprawianiem starych krzywd. Przyszłość jest uzależniona od teraźniejszej rewizji przeszłości, i im ona będzie skrupulatniej przeprowadzona, tym większe szansę na dobre „kiedyś”.

Kiedy nie wolno z porównań wyprowadzać normy?

Pan Nowacki pisze:

„Szkoda, że p. Toporska nie miała możliwości słyszenia w Rosji wypowiedzi tych Białorusinów-kułaków, których bolszewicy wywieźli do łagrów... Mówili oni ze łzami w oczach, że piechotą poszliby z Syberii... pod panowanie Polski”.

Ja napisałam: *„Argument, że... bolszewicy „nawracają” na polskość ludność w granicach sowieckiego zaboru, jest niski i nie do przyjęcia”.*

Widocznie p. Nowacki uważa go przeciwnie: za szlachetny i przekonujący, skoro nim się posługuje.

Wydaje mi się, że przekonanie p. Nowackiego jest powszechnie podzielane, ale że słuszność jest przy mnie. Zacznę więc od wyłożenia w tej kwestii swoich racji, inaczej cały artykuł byłby niepotrzebny. Wystarczyłoby stwierdzenie, że rządy sanacji nie dociągnęły do normy bolszewików czy hitlerowców, a więc były dobre.

Całe nasze poznanie przyrodnicze, ekonomiczne, i w dużym stopniu społeczne oparte jest na prawie do porównań. Solski żył długo, a Uniłowski krótko. Ford jest bogaty, Zabłocki zamożny, a Toporska biedna. Irena Delmar wysoka, bo Zosia Terne niska. Ale morderca jednego Żyda nie jest ani „dobry”, ani nawet „lepszy” od Eichmanna. Zabójstwo gen. Zagórskiego nie stało się ani dobre, ani lepsze z tego powodu, że dyktatorzy i rządy wojskowych „junt” mają zazwyczaj więcej podobnych zbrodni na sumieniu. Morderstwa, dokonywane przez OAS, nie są usprawiedliwione ani zbrodniami hitlerowców, ani vice versa. W sprawach moralnych obowiązują tylko porównania do norm przyjętej i wyznawanej etyki.

Zagrożeniem dla współczesnych kultur nie są mnożące się zbrodnie, bo cała historia ludzkości jest pasmem powtarzających się zbrodni. Zagrożeniem współczesnych kultur jest porzucenie postulatów etycznych dla średniej arytmetycznej postępowania.

Człowiek jest stworzeniem rozdwojonym między kultem ideałów (kultura) a impulsami zwierzęcia (natura). W naturze nic nie jest „moralne” i „niemoralne”, w kulturze wszystko sprowadza się do tych pojęć. Czyny więc mogą — a w pewnym sensie „nie mogą nie” — zaprzeczać kultywowanym ideałom, dopóki jednak z ideałów płynie ocena czynów, dopóty kultura jest w bezpieczeństwie. Śmiercią kultur jest bankructwo systemów moralnych.

Jesteśmy świadkami umierania kultury chrześcijańskiej. Nie powód, by nie bronić tego co się kochało. Właśnie przed wprowadzaniem chyłkiem, ale skutecznie, „realistycznym” (ach, jak można zniecierliwić to słowo!) relatywizmem moralnym. W miejsce kategorycznego „kochaj!”, „szanuj!”, „nie zabijaj!”, „nie kradnij!” — normy wypośrodkować na wzór standardu dobrobytu”. Na górze dr Schweitzer, na dole Hitler i Stalin. Przede wszystkim jednak ci dwaj. Ich zbrodnie tworzą to miłe lustro, w którym przegląda się współczesna kanalia, by się pokrzepić, że jest... przystojna. Trudno o większy tryumf zła. I trudno o bardziej poniżającą obronę swego narodu niż dowodzenie, że nieprawości popełnione w imię jego rzekomych interesów nie przekroczyły norm, ustalonych przez czekistów i gestapowców.

Polonizacja nie jest lepsza od rusyfikacji, germanizacji, latynizacji, ani jakiegokolwiek innej ...izacji

Sadyka Paszę nazywamy renegatem, a Wincentego Pola szlachetnym patriotą. Zamiast bawić się w piasku tymi dwiema miarkami, przyjmijmy jako regułę, że każdemu wolno zmieniać swoją narodowość według upodobania. Ale nikomu nie wolno siłą wynaradawiać innych.

Szlachta ruska (b. Wielkiego Księstwa Litewskiego) polonizowała się w czasie dobrowolnej unii Litwy z Polską. Miała w tym swój interes. Chłopi się nie polonizowali, bo polska demokracja szlachecka oznaczała dla nich zwiększony ucisk pańszczyźniany. Podobna sytuacja powstała w Finlandii, gdzie język i kultura szlachty były szwedzkie, a lud pozostał fiński. Nie będziemy próbowali rozstrzygać, kto postąpił szlachetniej: czy fińska szlachta, która opowiedziała się za solidarnością ze swoim ludem, czy „litewska”, która się opowiedziała za solidarnością z nabytą kulturą polską. Wybór na pewno nie był łatwy. Czas wyboru przyszedł wraz z wyzwoleniem mas chłopskich. Proces demokracji oznaczał odrodzenie porzuconych przez klasy wyższe języków narodowych.

Dmowski chciał, aby granice wschodnie Polski sięgały tak daleko, jak daleko istnieją przychylne warunki na szybki proces polonizacji. Jak się miała odbywać ta polonizacja, nie wiemy, bo nie Dmowski decydował o wschodniej granicy Polski i nie był później odpowiedzialny za politykę polonizacyjną.

Piłsudski miał się nosić z zamiarami federacyjnymi. Przeczą temu fakty, które stwarzał. Ze źródeł historycznych wiemy, że bolszewicy gotowi byli oddać Połock i Borysów, a zostali zaskoczeni otrzymaniem Mińska! Granica ryska oznaczała rozbiór ziem b. Wielkiego Księstwa między Polskę i Sowiety. Złamanie ledwo podpisanego traktatu z Litwą przez podstępne odebranie jej ledwo że przyznanego Wilna było postawieniem krzyżyka nie tylko na projektach federacyjnych, ale na stosunkach dobrosąsiedzkich. Albo albo. Albo Piłsudski nosił się z zamiarami federacji, lecz był takim ignorantem w sprawach wojskowych, politycznych i psychologicznych, że je wbrew woli pogrzebał; albo „wolność naszą i waszą” zdradził, liczył na rusyfikację wschodniej Białorusi i Ukrainy, co dopomogłoby mu do polonizacji zachodnich terenów b. Litwy i Ukrainy, a także na rychłą kapitulację dwumilionowej Litwy Kowieńskiej, bez stolicy, bez gospodarczego zaplecza, bez widoków na skuteczną obronę militarną.

Osobiście uważam drugie przypuszczenie za bardziej uzasadnione.

Polacy mówią: Wilno było polskie. Równie polski był Mińsk i Kowno. Wilno natomiast było

najbardziej żydowskie. Przed pierwszą wojną Żydzi stanowili prawie 60 procent mieszkańców Wilna, mówili żargonem, ich „francuskim” był rosyjski (i tak pozostało do drugiej wojny). Stosując więc miarę praw większości, najbardziej uzasadnione pretensje do Wilna mógł zgłaszać Izrael. Historycznie — było stolicą Litwy. Nawet jednak za czasów Gedyminowiczów zaledwie tu sięgał język litewski, wycofując się z Auksztoty na świętą Żmudź, pogańską i niepiśmienną. W czasie „chrztu Litwy” tylko okoliczne miejscowości nosiły jeszcze litewskie nazwy, Wilno było ruskie i prawosławne, z dość okazałym mieszczaństwem niemieckim, z koloniami Tatarów w okolicy, no i przede wszystkim z pismem ruskim, ową powszechnie uznaną metryką tożsamości i dojrzałości kulturalnej. Aż do wygaśnięcia dynastii Jagiellonów białoruski był językiem dokumentów państwowych nie tylko w Wilnie, lecz i na Wawelu. Aż do drugiej wojny światowej białoruski był językiem chłopów, poczynając już od dziesiątego kilometra za miastem.

Przepraszam Czytelników *Wiadomości* za przypominanie elementarnie podręcznikowych wiadomości, cała jednak bieda w tym, że nie było ich w polskich podręcznikach. Ani dla szkół powszechnych, ani gimnazjalnych. Zdarzało się więc coraz częściej, że urzędnicy administracji polskiej przypisywali język białoruski wpływom rusyfikacji porozbiorowej, w prawosławiu — starszym na tych ziemiach niż katolicyzm a także Rosja — widzieli jedynie pozostałości carskiej polityki, a za jedynie dopuszczalny „litewski” uważali język Podbipięty. Ta niewiedza znakomicie dopomagała w ochoczym prześladowaniu osobowości kraju. Ta niewiedza jest w dalszym ciągu sztucznie kultywowana w sobotnich szkółkach na obczyźnie. Po co? Czy dla niedopuszczenia myśli o naprawie?

Dotychczas sytuacja wygląda o tyle pomyślnie, że głównym winowajcą w zaprzepaszczaniu sukcesji jagiellońskiej byliśmy my. To jest wielki atut, bo oznacza, że od nas przede wszystkim ciągle jeszcze zależy wyprostowanie zepsutych stosunków, że posiadamy nie tylko prawo, ale i obowiązek podejmowania tej inicjatywy.

Pan Nowacki pisze, że widział w Nowogródzkiem cerkwie zamknięte z braku wiernych. Ejże! Czy bolszewicy nie zamykali także cerkwi z powodu „braku wiernych”? I jak to mogło się zdarzyć, by nagle cerkwi było za dużo, gdy nawet według polskich statystyk katolicyzm na tych ziemiach kurczył się — wprawdzie bardzo nieznacznie — na rzecz prawosławia, mimo takich „kwiatuśków administracyjnych”, jak wysiedlanie prawosławnych z pasa przygranicznego, jak obowiązujący ich w wielu miejscowościach zakaz opuszczania chat między wschodem i zachodem słońca (a słońce zimą zachodziło o trzeciej i wstawało po siódmej), jak zakaz nabywania przez nich ziemi.

Pan Nowacki pisze, że zburzenie zabytkowej cerkiewki w Mołodecznie było „chuligaństwem”,

którego — poucza — nie wolno uogólniać. Ejże! A te z górą sto cerkwi, spalonych w ciągu kilku tygodni lata 1937, to było co? Prawda: wiadomości o tych szaleńczych wyczynach „Ozonu” były w prasie konfiskowane. Ale czy Polakom wypada zastaniać się niewiedzą tego, co działo się na placach i drogach, gdy jednocześnie twierdzą, że Niemcy mieli obowiązek wiedzieć, co się działo za murami i drutami ich obozów koncentracyjnych? Byliśmy wprowadzeni na „polskiej drodze” do hitleryzmu, ale jeszcze b. daleko w tyle za Trzecią Rzeszą. Wystarczyło więc wolności, by wiedzieć, co się chciało.

Moi przyjaciele, Białorusini, mówią: „Polacy bronili polskości „kresów” tylko przed autochtonami tych ziem. Nie bronili jej przed sowieckim zaborcą. Przehandlowanie ziem wschodnich na ziemi nadodrzańskie nie odbyło się całkowicie ponad głowami wszystkich Polaków. W ten sposób Polska utraciła raz na zawsze do nich prawa, i niech już tak zostanie”.

Odpowiadam: „Nie sądzę, by Polska posiadała kiedykolwiek do nich prawa, jakie uzurpowała sobie i egzekwowała w latach 1918 — 1939. Uważam natomiast, że Polacy, którzy tam mieszkają, lub którzy tam zechcą wrócić, posiadają te wszystkie prawa obywatelskie, jakich rządy polskie pozbawiały tamtejszą ludność niepolską. Bezprawie nie ustanawia prawa”.

Kongo nad Wilią, Niemnem i Prypecią

Nie pamiętam, kiedy powstała Liga Morska i Kolonialna. Pamiętam natomiast, jak to w r. 1938 ukazały się na autobusach wileńskich, zwanych arbonami, napisy: „Żądamy kolonii!” Należy się domyślać, że to żądanie nie było skierowane ani do Niemiec, ani do Sowietów, ponieważ oba te państwa kolonii nie posiadały. W oczekiwaniu na przydziały zamorskie uprawialiśmy kolonializm „kresowy” .

Polska „lewica” niekomunistyczna ujmowała się tylko za Żydami. Żyd był Murzynem. Białorusin Indianinem. Wileńscy „demokraci” sparaliżowani byli kultem marszałka Piłsudskiego. „Naprawiacze” byli większymi nacjonalistami niż endecy. Już raczej endecja skłonna była do piętnowania „metod”, ponieważ walczone z nią podobnymi. Tak samo unieważniano jej listy wyborcze, tak samo fałszowano na jej niekorzyść wybory, tak samo otoczona była siecią prowokacji policyjnej, tak samo zsyłano ją do Berezy. Ostatecznie w sejmie zasiadał jeden poseł białoruski (przepchnięty tam przez Ukraińców) i ani jednego Litwina. Na połowę terytorium b. Wielkiego Księstwa Litewskiego — to mało.

Konserwatyści wileńscy walczyli z ignorancją nasyłanych urzędników, ale nigdy nie podnieśli głosu wyżej, aby uderzyć w samą zasadę zdrady owego „równi z równymi, wolni z wolnymi”, czyli w politykę marszałka Piłsudskiego. Ksawery Pruszyński przeczytał Kiplinga i wysnuł z niego wniosek, że Anglia prowadzi mądrą politykę kolonialną, a Polska głupią. Ostatecznie, z lawirowania między Piłsudskim a historią, ziemiaństwo polskie gotowe było wziąć na siebie misję kolonizatorów, zwłaszcza z perspektywą skierowania impetu kolonizacyjnego nie za morza, po kakao i bawełnę, ale w kierunku zamienionych w sowchozy majątków za granicą sowiecką. Zapewne gdyby oni dopuszczeni byli do rządów krajem ojczystym, cerkwie ostałyby w spokoju, zapewne nie popełniono by tysiąca bezceństw, zapewne nad wieczornym krajobrazem zawodziłyby swobodnie białoruskie pieśni. Wątpić jednak należy, czy w takim układzie stosunków chłop białoruski otrzymałby prędzej ziemię z reformy rolnej.

Tylko niewielka grupa przedstawicieli tzw. „krajowców” stała na stanowisku historycznej Litwy, wielowyznaniowej, z równouprawnieniem językowym w szkołach i urzędach, a w takich związkach z Polską, które by uniemożliwiały Polakom uprawianie polityki kolonialnej, wszystko jedno — głupiej czy mądrej. „Krajowców” ubywało jednak z każdym rokiem 20-lecia. Zostało ich w końcu tylu co na palcach zliczyć. Naród polski, przez sto lat pozujący na „Chrystusa narodów”, dziwnie rozsmakował się w prześladowaniu innych narodów, a coraz brutalniejsze formy tych prześladowań zamiast powiększać skrupuły zdawały się, przeciwnie, je usuwać.

Poza moralnymi — sprawa miała i polityczne konsekwencje. Wraz z porzuceniem przez miejscowych Polaków idei „wspólnej ojczyzny”, porzucali ją równie topniejący sympatycy takiej wspólnoty ze strony litewskiej i białoruskiej. W końcu stała się ona symbolem narodowej zdrady dla każdego z trzech nacjonalizmów, zgłaszających pretensje o sukcesję po Wielkim Księstwie Litewskim.

Bóg i nacjonalizm

Z przerażeniem przeczytałam niedawno postulat prezesa Bieleckiego, by każda parafia polska stała się „twierdzą polskości”. Och, nie, na miły Bóg, nie! Ja nie wiem, dlaczego księża mają taki pociąg do idei świeckich, ale wiem, że poprzez nie ulegają często zgoła heretyckim sloganom. Niedawno np. pewien ksiądz próbował mnie przekonać, że istnieje wspólna dusza narodu. Tak mu się ten Hegel spodobał! Parafia jest oczywiście od tego, by surowo pilnować, czy przykazania Boże nie są naginane, usuwane, obchodzone na rzecz interesów pobocznych, a więc także interesów polskości. Inaczej mówiąc — parafia powinna być cenzorem każdego nacjonalizmu, ale nie jego ekspozyturą.

Można zrozumieć dlaczego polskie duchowieństwo katolickie nie przeciwstawiało się jak należy burzeniom świątyń prawosławnych. Chociaż niewątpliwie powinien się znaleźć ktoś, kto by wyjaśnił ciemnocie urzędniczej, że z punktu widzenia katolickiego wszystkie sakramenty schizmatyckiego Kościoła są ważne, że więc wyrzucając na drogę konsekrowaną Komunię (zdarzył się i taki wypadek) dopuszczono się największego, z punktu widzenia każdego chrześcijanina, świętokradztwa. Być może jednak, duchowieństwo polskie dowiedziało się o tej akcji poniewczasie. Kościół katolicki był zainteresowany w przeciąganiu prawosławnych do siebie, i zapewne taktycznie było czyn już nie do odrobienia przemilczeć. Trudno natomiast o jakiegokolwiek usprawiedliwienie w zwalczaniu katolickiego duchowieństwa białoruskiego, w której to akcji polska administracja kościelna działała nadspodziewanie harmonijnie z polską administracją państwową. Co nie przysporzyło honoru żadnej.

Spory odłam ludności białoruskiej w granicach Polski 20-lecia był katolicki. Ile tego było — ustalić niepodobna. Biedny chłop jest z natury rzeczy konformistą, chłop białoruski był bardzo biedny, w dodatku często tak zacofany, że nie rozumiał słowa „narodowość”, a kolor skóry nie był wskazówką, z jakiej korzystają Afrykańczycy. Określenie narodowości zależało więc od urzędnika. Jeśli był uprzejmy mówił: „jak katolik, to ty, znaczy, Polak”. Wbrew zdaniu moich białoruskich przyjaciół twierdzą, że w 90 procentach chłop był z takiej formy polonizacji zadowolony. Gdyby nam w Homa Office zamiast zielonego Travel Document urzędnik podał paszport brytyjski: „Tyle lat pan mieszka w Anglii, to pan Brytyjczyk”, zapewne niewielu z nas wzgardziłoby także taką formą wynarodowienia.

Polski „British” zareagowałby jednak inaczej, gdyby Anglicy pozbawili go prawa słuchania kazań w języku polskim i korzystania z polskich spowiedników, chociaż takiego głodu na „Słowo Boże”, i takiego tłumy przy konfesjonatach nie ma na emigracji, jak bywało po wsiach. Przyjmijmy, że reakcja chłopu białoruskiego na pozbawienie go duszpasterstwa w języku całkowicie zrozumiałym była dziesięciokrotnie słabsza niż ta, którą zaproponowałam do wyobrażenia. Wystarczyło tego na osad goryczy. Dla duchowieństwa białoruskiego natomiast było przebraniem miary.

Według spisu ludności z r. 1931 katolików, deklarujących narodowość białoruską, było 78,000. Księża białoruskich po pierwszej wojnie zaledwie ponad stu. Okazało się, że i to za dużo. Przed drugą wojną księża białoruscy wysyłani byli tylko do parafii polskich. W r. 1925 ks. Godlewski został aresztowany za kazania w języku białoruskim. W r. 1937 ks. Tołłoczko został wysiedlony z Wilna za spowiadanie w języku białoruskim. O. O. Marianów wysiedlono z Drui. Prowadzili tam polskie gimnazjum, kazania wygłaszali po polsku, ale większość z nich była Białorusinami. Oskarżono ich o „nielegalne” nauczanie religii w języku białoruskim po okolicznych wioskach. Krakowski *Ilustrowany Kuryer Codzienny* wystąpił wówczas z artykułami przeciw... tym

księżom.

Polska złamała wszystkie traktaty międzynarodowe, zobowiązujące ją do szanowania podstawowych wolności obywateli innych wyznań i narodowości. Sądzę, że nie zwalniało to duchowieństwa katolickiego z nakazu prowadzenia pracy duszpasterskiej ku zbawieniu dusz „owieczek”, a nie dla zapędzania ich do polskiej owczarni. Z myślą o tym zbawieniu, a nie w innym celu, wprowadzono przecież języki narodowe do kazań i konfesjonałów, by Słowo Boże trafiało najbezpośredniej, było najlepiej rozumiane i najgłębiej przeżyte. Różnica między polskim a białoruskim nie jest tak duża, by uniemożliwiała porozumienie. W zbieżnościach dźwiękowych kryje się jednak dużo zasadzek, powodując nieporozumienia o skutkach przeważnie komicznych.

Proboszcz w Żodziszkach, który odziedziczył parafię po ks. Godlewskim, lubił chwalić się swoją chytrą:ścią:

— Przynieśli mi — opowiadał — podpisaną petycję, że chcą kazań po białorusku. Takie było prawo, misja kaznodziejska ma być w języku, jakiego żądają parafianie. Więc ja im: „Dobrze, mili, postaram się, tylko u mnie z tym białoruskim trochę trudno, ale popracuję, mili”. No, i jak ja im powiedziałem kazanie jedno, drugie, trzecie, że ludzie od śmiechu powstrzymać się nie mogli, to sami przyszli znowu prosić: „Chaj by ksiondz lepiej użo haworyu pa polski, a to tak ustyd nawet słuhać”. Wtedy ja im: „Dobrze, mili. Ale wasza petycja odesłana już do Wilna, wycofać jej nie mogę. Innej rady nie ma, tylko podpiszcie drugą, że chcecie kazań po polsku”. I podpisali.

Nie, nie będę próbowała twierdzić, że księża białoruscy (jak i litewscy i ukraińscy) zajmowali się tylko uświadamianiem religijnym. Nie będę nawet twierdziła, że byli zawsze lojalni wobec państwowości polskiej. Lojalność wobec państwa obowiązuje jednak tylko wtedy, gdy państwo jest lojalne wobec obywateli. Państwo polskie w latach niepodległości nie było na terenach „Polski B” lojalne ani wobec tradycji historycznych, ani wobec „praw człowieka i obywatela”, ani wobec własnej konstytucji. Szowinizm duchowieństwa białoruskiego był szowinizmem uciskanych, gdy szowinizm duchowieństwa polskiego był — niestety — szowinizmem „twierdzy”.

W latach 1939 — 1940 ujrzeliśmy w Wilnie obraz odwrócony. Na małej wysepce stosunkowego spokoju i pokoju, między zalewem bezbożnego hitleryzmu i bezbożnego bolszewizmu, katolickie „przedmurze chrześcijaństwa” waliło się w kościołach pałkami po łbach. Władza i hańba były wówczas przy duchowieństwie litewskim. Mówiło: „Polacy prowokują, śpiewając po nabożeństwach litewskich „Boże coś Polskę”. Oczywiście, nie wiadomo co by było, gdyby w latach poprzednich Białorusini próbowali wtargnąć do kościołów z pieśnią „Dołho my spali, no nas razbudzili”...

Białorusini nie próbowali. W rzeczy samej —byli nie dość „rozbudzeni”.

Kto powinien rozbudzać narodową świadomość białoruską?

Teza polska brzmi: kwestię ukraińską stworzyli (nam na złość) Niemcy i Austriacy, kwestię litewską (nam na złość) Niemcy i bolszewicy, nacjonalizm białoruski był także sztucznie budzony przez Niemców (w latach 1916 — 1918) a później bolszewików. Też nam na złość. Równie dobrze można powiedzieć, że Grecy istnieją na złość Turkom.

Jest prawdą, że w początkach XX w. świadomość narodowa Białorusinów równała się zeru. Jest prawdą, że po pierwszej wojnie większość z nich nazywała swój język „prostym”. Wydaje mi się jednak, że wstyd za to spada na dwory polskie i na inteligencję polską, która nie raczyła poinformować „ludu”, skąd się jego język wywodzi i jak nazywa. Oskarżanie pańszczyźnianego chłopca o niewiedzę, o nieumiejętność zorganizowania sobie tajnego nauczania, jak to potrafili Polacy, o... brak literatury (i taki padał argument) — brzmi jak złe kpiny. Z chwilą, gdy Polska sięgnęła po sukcesję po Wielkim Księstwie Litewskim, jej obowiązkiem było dbać o oświatę i rozwój świadomości narodowej autochtonów tych ziem. Miejskowa szlachta, miejscowe mieszczaństwo, przyjęły dobrowolnie w wiekach dobrowolnego współżycia kulturę polską. Ich rzecz i ich prawo. Gdyby miejscowe chłopstwo zechciało zamienić z czasem swój język i narodowość równie świadomie i dobrowolnie (czy interesownie) na język i narodowość polską — wszystko byłoby w porządku, choć nie bez mego żalu. Najpierw jednak trzeba było stworzyć warunki swobodnego wyboru.

Konstytucja 3 maja nie jest Dekalogiem. Polacy zresztą nie czują się związani jej innymi paragrafami, poza jednym wygodnym, który w dość mętny zresztą sposób mówi o scalaniu Litwy z Polską w państwo polskie. Konstytucja 3 maja uchwałała także monarchię dziedziczną, a trudno o większą sprzeczność z jej duchem niż granica ryska. Skoro uznajemy, że stała się przestarzała w tamtych punktach, wypada także przyznać, że uchwalana była przez szlachtę, której „rewolucyjność” nie sięgała niżej „trzeciego stanu”. Wyzwolenie chłopów wprowadzało odrodzenie historycznych odrębności. Prawdziwy patriota tych ziem powinien być chłopom wdzięczny, że zachowali język, obyczaj, sztukę ludową, literaturę mówioną w stanie niemal czystym. Woleliśmy „polonizować”. Woleliśmy niszczyć w imię spod ciemnej gwiazdy nacjonalistycznego przekonania, że naród tym większy, im więcej potrafi połknąć, strawić, unicestwić. To nasz polski nacjonalizm, połączony ze szlacheckim oporem przeciw reformom, przeciw rozciągnięciu swobód demokratycznych na stan chłopski (dla Sienkiewicza to była „czerrń”) stworzył „nowe nacjonalizmy” w ich szowinistycznej, agresywnej formie.

Pewien polski pisarz był bardzo dumny z afrontu, jaki zrobił w Kownie litewskim kolegom po piórze w obronie „polskości” Mickiewicza. Ja mówię do znajomych Białorusinów: „Dlaczego nie przyznajecie się do Mickiewicza? Czemu chcecie być barbarzyńcami, skąd ten fetysz językowy?! Czyż literatura polska nie wywodzi się z piśmiennictwa łacińskiego?” I słyszę w odpowiedzi: „Żeby Polacy powiedzieli, że my u nich nakradli? Ma się rozumieć, że Mickiewicz z naszych. Ale niech będzie: wasz. Obejdzie się. Nic nie chcieli dać, nic nie chcemy brać”. I dalej: „My z Polską może będziemy współpracować w przyszłości, my nie chcemy rozdrapywania ran. Po co mówić, co było? Przekreślić”.

Trzeba nie mieć słuchu, by nie usłyszeć, że chodzi tu nie tylko o przekreślenie przeszłości, lecz i wspólnej przyszłości. To jest platforma, na której Litwini, Białorusini, Ukraińcy godzą się z Polakami gadać. Najchętniej przez swoich urzędników ze swoich ministerstw spraw zagranicznych. Dla wielu eks-kolonizatorów platforma do przyjęcia, dla ludzi stamtąd z pradziadów i prapradziadów, z tej samej krwi i historii — nie. Nie można jednak tej platformy odrzucać, dopóki się samemu odrzuca „wspólną przeszłość” na rzecz taniego sentymentalizmu „Kaziuków” i niewłaściwego sentymentalizmu wspomnień p. premiera Składkowskiego. Jeśli ktoś „kocha” wspomnienia łaszących się pokornie przed ciemną władzą sług i woźnych, jeśli „kocha” sfalszowany w złym guście regionalizm, nie przekona nikogo do miłości tamtego kraju. Co najwyżej do chęci odzyskania w nim swego uprzywilejowanego statusu.

„Kaziuk” to jest tak, jakby w c. k. Austrii przyszło jakiemuś urzędasowi w Wiedniu do głowy nazwać odpust patrona Polski „Staśkiem” i puszcząć turystyczne pociągi na to „ludowe” święto do Krakowa. (Rzecz, oczywiście, nie do pomyślenia, bo dopóki istniały dwory cesarskie i królewskie, dopóty granice dobrego smaku były jednak znane.) Gwara Wincuka Markotnego czy Ciotki Albinowej jest tym co po angielsku nazywałoby się „broken Polish”. Nie posiada wartości autentycznych gwar, które bywają starsze od języków literackich, i z tego względu interesujące. Tak rozmawiał chłop z panem, czy z człowiekiem „miejskim”, gdy chciał mówić po polsku. Czułby się jednak obrażony, gdyby w odpowiedzi usłyszał tę samą gwarę. Na zupełnie tych samych prawach jakby reagował Polak, słysząc Anglika naśladowującego jego złą angielszczyznę. Wielu ziemian natomiast rozmawiało z chłopami po białorusku, co bardzo było cenione jako grzeczność.

Ludzie są wszyscy tacy sami, a różnice narodowe są fikcją. Nacjonalizm jest odmową traktowania innych w sposób, w jaki samemu chce się być traktowanym.

Uczniowie z wyrokami dwóch lat więzienia

Komunizm odbiera chłopom ziemię, religię, sny o siedmiu tłustych krowach. Narody chłopskie są więc w najnaturalniejszy sposób antykomunistyczne. Poznali to bolszewicy na własnej skórze podczas ostatniej wojny. Od Finlandii po Rumunię, czy to po latach dwóch czy dwudziestu ich panowania, ich odwrotowi towarzyszyła straszna, w cepy oprawna, chłopska zemsta. Za jej sprawą powstawały zresztą pierwsze załóżki partyzantki sowieckiej na zapleczach armii niemieckiej; enkawudzista czy aparaczkik nie mogli znaleźć schronienia wśród ludzi, szansę przeżycia dawał im las. Potem koleje losu się odwróciły, i dawno już przebrzmiały rozmowy poczdamskie, a jeszcze chłopci Litwy, Białorusi i Ukrainy prowadzili swą własną, antysowiecką wojnę. Poza Polską i Czechosłowacją, cały europejski Wschód, z dużym odsetkiem Rosjan włącznie, ogłosił samorzutnie za wroga nr 1 — Sowiety. To jest jedna strona medalu, powiedziałabym: raczej ludzka, raczej społeczna, a w każdym razie nie miała ona wiele wspólnego z polityką, z tej choćby przyczyny, że politykę prowadzą politycy, a tutaj każdy sam rozstrzygał konflikt między powinnością obrony własnych ludzkich interesów a strachem o własną skórę.

Druga strona medalu, to całkowita nieprzydatność nacjonalizmów w obronie przeciw sowietyzacji. Ponieważ nacjonalizm stawia język, nazwę i granice ponad wszystko, w ten sposób także ponad sny o tłustych krowach, ziemię własną, i każdą indywidualną własność ze sprawami indywidualnej duszy włącznie. „Wszystko jedno jaki ustrój, byle Polska”. A komuniści mówią: „Wszystko jedno jaka narodowość, byle ustrój”. Te dwie formuły nałożone na siebie dadzą Polskę o ustroju komunistycznym, Białoruś o ustroju komunistycznym czy Kubę o ustroju komunistycznym.

Nie należy twierdzić, aby na takiej symbiozie wygrywał tylko komunizm. Ustrój komunistyczny ogranicza wprawdzie narodową suwerenność, jest jednak zainteresowany w rozwoju miłych nacjonalistycznemu sercu instytucji, a przede wszystkim w krzewieniu narodowego języka, narodowego szkolnictwa, literatury, radia, prasy. Właśnie po to, aby komunistyczne słowo trafiło najbezpośredniej, było najlepiej zrozumiane i najgłębiej przeżyte.

Na pewno nie, by zrobić na złość Polakom bolszewicy stworzyli białoruską i ukraińską republiki. Forsując w nich narodowe szkolnictwo, prasę, radio, teatry, zespoły pieśni i tańca, muzea, uniwersytety, naukowe instytucje. Chłopa białoruskiego mało te cuda obchodziły, skoro ich ceną były kołchozy i zamykane cerkwie. Były to jednak za silne pokusy dla inteligencji białoruskiej, tworzącej się z trudem, ale za to przy codziennych lekcjach, że od Polski nie mają czego oczekiwać.

Nie wiem, na jakiej podstawie p. Nowacki twierdzi, że w Polsce były „nawet dwa gimnazja białoruskie”, po czym rezonuje: „Trudno było zakładać od razu szkoły średnie i uniwersytety w

kraju, w którym było prawie siedemdziesiąt procent analfabetów".

Gimnazjów białoruskich można było równie dobrze wymienić sześć albo siedem, albo jedno. Na terenie Litwy środkowej (1920 — 1922), obejmującej zaledwie część terytoriów zasiedlonych przez Białorusinów, było tych gimnazjów bodaj: osiem! Pod koniec 20-lecia jedno, w Wilnie. W mojej wypowiedzi zbyłam sprawę tego gimnazjum dość grzecznie w słowach „dywersja polityczna”. Mówiąc ściśle, w białoruskiej filii gimnazjum im. Słowackiego działały dwie dywersje: komunistyczna i polska policyjna. Obie miały dość podobne cele: werbowanie agentów. Komuniści apelowali — niestety — do szlachetniejszych uczuć: wizji wyzwolenia narodowego i klasowego, którego symbolem miała być odrutowana granica i rzekomo oszkalowana przez „pańską propagandę” wschodnia połowa ojczyzny — Socjalistyczna Republika Białoruska. Polska dywersja policyjna posługiwała się tylko szantażem. W tej sytuacji, gdy kilku uczniów białoruskiego gimnazjum stanęło przed sądem i zapadły wyroki dwóch lat bez zawieszenia, nikogo tryumf policyjnych konfidentów nie pokrzepił. Mówiło się przecież na rynkach i w kawiarniach, iż owi młodociani entuzjaści nacjonalkomunizmu zostali zwerbowani do ideologii i tajnej organizacji przez nauczyciela prowokatora!

Wojewoda Bociński miał zwyczaj pokazywania dwóch map. Na jednej zakreślone były miejscowości, objęte działaniem społeczno-kulturalnych organizacji białoruskich (zamkniętych przez niego), na drugiej — miejscowości szczególnie nasycone propagacją komunistyczną. Zakreślenia na obu mapach odpowiadały sobie. Tak zapewne było. Nie przekonywują mnie wykrzykniki moich białoruskich przyjaciół: „Cała Białoruś powstała przeciw bolszewizmowi! A Polacy, co nas do więzień wsadzali za komunizm, poszli z nimi ręką w rękę!” Nie odpowiadam, że białoruska ruchawka antybolszewicka miała charakter ludowy, a nie nacjonalistyczny, przeciw ustrojowi, a nie Rosji, a inteligencja białoruska niewiele miała z tym do czynienia: Mówię natomiast: „A czym wy się teraz zajmujecie, jak nie propagowaniem Kolasa, Kupały, Tanki, tych bolszewików w narodowej formie. Dla was to „narodowa kultura”, świętość! A czy nie ma na emigracji takich, którzy mówią, że lepszy komunizm i zachodnie granice, niż wyzwolenie z Polakami na karku?!”

Każdy nacjonalizm (czytelnik bez trudu chyba odnajdzie paralelę z podobnymi opiniami wśród emigracji polskiej) godzi się w pewnych okolicznościach na „poputnicze” z komunizmem, i komuniści zawsze potrafią to wykorzystać. „Hromada” czy Towarzystwo Szkoły Białoruskiej, czy Białoruski Instytut Gospodarki i Kultury stanowiły kanały, przez które przenikała dywersja komunistyczna. „Pozytywne osiągnięcia”, „trwałe zdobycze narodu”, „literatura białoruska” — zawsze to samo opakowanie komunistycznego szmuglu.

Trudno natomiast było oprzeć się podejrzeniom, że nacjonalistycznej polityce polskiej

bynajmniej nie chodziło o zwalczanie komunizmu (którego niebezpieczeństwa nie doceniała), ale o pretekst do dyskryminacji narodowych. Dentysta-Białorusin mówił: „Gdy tylko zamkną się drzwi za ostatnim pacjentem, rzucam się do przeszukiwania przedpokoju, poczekalni gabinetu, metr po metrze, czy mi tam jaki pacjent policyjny bibuły komunistycznej nie podrzucił”.

Oczywiście: z żadną policją polityczną nigdy nie jest wiadomo, gdzie kończą się instrukcje z góry, a gdzie zaczyna własna inicjatywa, apetyty na awanse, czy choćby potrzeba wykazania, że nie darmo bierze się pensję. Poza rym, gdyby dawać posłuch wszystkim oskarżeniom o podrzucanie bibuły, trzeba by dojść do wniosku, że bolszewicy siedzieli za swoją granicą nieruchomo, a tylko policja polska wykradała od nich komunistyczną bibułę, przerzucała przez granicę, by fabrykować fałszywe oskarżenia. Prawda na pewno nie leżała nawet pośrodku. Już jednak z przypomnianych tu faktów wynika, że administracja polska bynajmniej nie zabiegała o warunki utrudniające przenikanie komunistyczne. Pewne światło na ówczesną politykę polską rzuca oświadczenie p. premiera Składkowskiego, złożone Komisarzowi Ligi Narodów w Gdańsku, kiedy ten przyjechał do Warszawy zabiegać u rządu polskiego o przeciwdziałanie ekscesom tamtejszych hitlerowców. Píše o tym Carl J. Burckhardt w swojej *Meine Danziger Mission*.

„W tej części Europy — miał powiedzieć p. premier — żyje się pod atmosferycznym ciśnieniem, o jakim nie ma się pojęcia w krajach Zachodu. Trudną do rozwiązania jest i u nas kwestia żydowska, 60 procent naszych Żydów jest komunistami, a 90 procent naszych komunistów jest Żydami. My jesteśmy młodym krajem, krajem przyszłości, nasze działanie musi być stanowcze, musimy wszystkie nasze pozycje utrzymać, i Gdańsk jest jedną z nich, bronimy jej wspólnie z Ligą Narodów, ale nie ma potrzeby wkraczać w wewnętrzne sprawy Wolnego Miasta. Pan musi liczyć się z realnymi siłami, które są tam w grze, ryzyko jest przeolbrzymie, proszę więc nie być formalistą”.

Oświadczenie to padło z ust polskiego premiera 4 marca 1937. Na kilka miesięcy przed masowym burzeniem cerkwi, którego nie sposób określić jako akcję antykomunistyczną. Nie. Państwowy nacjonalizm polski, z maturą w zębach w postaci deklaracji ideowej Ozonu, szalał wówczas beztrosko, ślepy zarówno na niebezpieczeństwo bolszewickie, jak hitlerowskie.

(W tym miejscu pragnę jeszcze raz powtórzyć, co napisałam w swoim liście do Wiadomości: nie chodzi mi o porachunki z „sanacją”. Przyszły lata, gdy ona, już w opozycji, broniła godności polskiej przed podskakiewiczostwem w przedpokojach sojuszników zachodnich, przed zmienianiem polityki polskiej na agenturę najpierw angielską, potem amerykańską. Mam tu na myśli przede wszystkim pisma płk Ignacego Matuszewskiego — na emigracji, i płk Wacława Lipińskiego — w kraju.)

Wracając do spraw szkolnych: emigracyjna inteligencja białoruska nie chce pamiętać, że narodowe aspiracje Białorusinów nie były równe aspiracjom ukraińskim czy litewskim. Na nieżyźnej ziemi myśli się o chlebie, a nie o luksusach narodowej kultury. Z myślą o chlebie chłop białoruski kształciłby chętnie dzieci w języku polskim. Wyniki spisu, przeprowadzonego przez Niemców w r. 1916, były dla nacjonalistów białoruskich miazdzące. Mimo to na terenie Litwy Środkowej powstało — zgodnie ze zgłoszeniami — 400 białoruskich szkół powszechnych. Po przyłączeniu Litwy Środkowej do Polski wszystkie zamknięto.

Związek Studentów Białorusinów na uniwersytecie w Wilnie nigdy nie liczył więcej niż 40 członków. W tym samym czasie za miedzą, na białoruskim uniwersytecie w Mińsku, kształciło się rokrocznie kilka setek młodzieży chłopskiej. Za drugą miedzą, na litewskim uniwersytecie w Kownie kształciło się kilka setek młodzieży chłopskiej. Wykształcenie jest rzeczą kosztowną. Aby dziecko chłopskie mogło je otrzymać, trzeba je albo kształcić na koszt państwa, albo podnieść dobrobyt wsi. Dyskryminacyjna polityka polska nie dopuszczała do żadnego z tych rozwiązań.

Dyskryminacja gospodarcza

Granice po pierwszej wojnie światowej przeprowadzono tak, że jedyne czysto polskie wsie w tym kraju przypadły Litwie. Otóż tamtejszy chłop polski mógł posłać dziecko na uniwersytet litewski. Szowinistyczna Litwa nie prowadziła dyskryminacji gospodarczej (choć ją o to oskarżało niezadowolone z reformy rolnej ziemiaństwo polskie), a ponieważ oparła swój zbytnie na wysokojakościowej produkcji rolnej, chłop zamożniał z roku na rok, i gospodarstwa chłopskie na Litwie, jak je pamiętam z r. 1939, bynajmniej nie ustępowały „bauerskrni” w kwitnących Niemczech Zachodnich z r. 1962. Serce rosło, a jednocześnie płonęło ze wstydu, gdy się patrzyło, jak się Litwini zakrzętnęli przy podnoszeniu rolnictwa na Wileńszczyźnie w r. 1939. W ciągu ośmiu miesięcy zdążono powymieniać ziarno siewne, pud za pud zdziczałe z ubogich kłosek na „niemieckie” (tak je nazywali nasi chłopci, i nie wiem, czy pochodziło to stąd, że Litwa zakupywała ziarno siewne z pruskich stacji doświadczalnych, czy też za sprawą oporów psychicznych, zawiści i niechęci, że oto z równego statusu przed ćwierćwieczem — „a czy Litwin to pan? Litwin to cham” rezonowano po wsiach — jednym się tak powiodło, że biegają z teczkami i w kapeluszach przy lśniących cholewach długich butów, a drugim tak nie udało, że znowu z czapką w rękę, a tu Litwini zaczęli zmieniać nazwy, szyldy, litewszczyć końcówki nazwisk, zaganiać do nauki litewskiego, czyli poczynać sobie bardzo feudalnie, więc co chwila wracało na usta białoruskie przysłowie: „nie daj Boh swinji roh, da muzyku państwa”, a także deprecjonowanie tej władzy, choćby w ten sposób, by rasowe świnię na chów, po które zapuszczano się chętnie furmankami za niedawną granicę, opatrzyć przymusowo niemieckim rodowodem „białej pruskiej”, a więc gatunku wyimaginowanego).

Agronom litewski przez dwa dni w tygodniu objeżdżał gospodarstwo po gospodarstwie, badał ziemię, taksował bydło, radził, kalkulował, pisał wnioski o przyznawanie kredytów na nawozy, na budulec, na narzędzia, na inwentarz. Weterynarz wiejski na motocyklu stał się postacią równie złączoną z krajobrazem tygodnia co ksiądz i nauczyciel.

Poza tym od razu zorganizowano punkty skupu nabiału, dogodnie bliskie, z cenami o grosze niższymi od rynkowych, co dało wreszcie chłopom łatwy dopływ gotówki, uniezależniony od odległości od miasta, od straty za dowóz, „dzikie” kształtowanie się cen, kwaśnienie mleka w bańkach i butelkach, roztapianie się masła w szmatkach pod słomą. To wszystko były rzeczy dziecinnie proste, niekosztowne a rentowne, a jednak administracja polska nie mogła się na nie zdobyć przez lat dwadzieścia! Chłop białoruski nie kroił zapalek na czworo, ale przechowywał żar pod popiołem, aby nie kupować zapalek. Jak mógł kupować wykształcenie dla swoich dzieci?

Pretensje o wykształcenie były jednak poza świadomością przynajmniej tzw. „szerokich mas”. Białoruska inteligencja nie może zapomnieć konfiskat pism zakładanych sporadycznie i uśmiercanych szybko przez starostwa. Ja twierdzę, że i tak ginęłyby śmiercią naturalną. A gdyby chłop miał pieniądze na kupno gazet, to być może, wolałby polską prasę „czerwoną” niż Kalośsie.

Pieniądze to taka rzecz względna! Mieszkałam 15 km od Wilna i miałam sąsiadów, którzy nigdy w życiu nie jeździli pociągiem, chociaż ze stacji odchodziło ich codziennie piętnaście par. Taniej było piechotą. I nigdy nie byli w kinie, mimo że do Wilna chodzili nader często. W czasie wojny to się zmieniło, w czasie wojny Wandzia z „Carmen” robiła mi trwałą ondulację za darmo, nie tylko po starej znajomości, ale także za te moje sąsiadki, co płaciły jej masłem lub słoniną za ulokowanie głów, a ja czytywałam głośno wieczorami *Trędowatą* też nie bez wyrachowania na podorywkę kartofli, pożyczanie chleba i inne usługi sąsiedzkie, gdy nagle podstawą bytu stał się ogród o powierzchni jednej dziesięciny. Moi sąsiedzi, o pół hektara zamożniejsi, już się w tych czasach bogacili na mleku, na jajach, na Żydach, na samogonie, na tajnym uboju, na koniu, który tył na przemyśle, gdy pociągi zostały dla wszystkich zamknięte, a przede wszystkim — na porównaniu z własną przedwojenną nędzą. Ja tam też nie próżnowałam i z moich wędrówek po puszczy z mydłem własnej roboty na wymianę wyniosłam sporo obserwacji. Muszę stwierdzić, wbrew moim przyjaciółom białoruskim, że nigdy nie spotkałam się z wyrzekaniami na uniedostępnianie przez dawne władze polskie oświaty. Ta krzywda była po prostu za widnokretem wyobraźni. Była natomiast inna, piekąca, która indyferentyzm narodowy zmieniała w poznanie własnej prześladowanej narodowości — sprawa osadników. Gdzie tylko znalazł się kawałek ziemi pod parcelację, a więc możliwość podratowania ubogiej, małorolnej wsi, tam nadzieje rozbijały się o niesprawiedliwość, bezwzględność, nie do obejścia, nie do

ubłagania — ziemię otrzymywali obcy. Zwożeni zza Bugu, zza Wisły, już nie o to chodziło, że nie zawsze tak „pozytywni”, jak w powieściach Rodziewiczówny, a często negatywni” wobec kraju, ludzi, losu, z wydziwianiami, z drwiną, jakby głodnemu odebrać kawał chleba i pluć nim w grymaszeniach — nie o to chodziło; wniosek był jak wyrok, nie do odepchnięcia: „Pad Polszczaj niama dla nas życia”.

W taki oto sposób dochodzili Białorusini do samowiedzy o swej odrębności narodowej. Nie przez oświatę, nie przez książki, nie przez historię, nie przez Słowo Mielezki, tylko przez pytanie — za co nas krzywdzą?

Polska należy do kultury Zachodu

Hitlerowcy inaczej zachowywali się we Francji, a inaczej w Polsce. Mimo że wierzyli w wyższość rasy germańskiej nad romańską. Uznawali jednak wyższość rasy romańskiej nad słowiańską.

Oczywiście, mogliby w to wierzyć, ale nie demonstrować tej wiary w sposób równie nieludzki. Anglosasi też wierzą w swoją wyższość, a demonstrowają ją w sposób dyskretny. Wprawdzie tylko w stosunku do „foreigner”ów europejskich, bo w niszczeniu ludów czarnych i kolorowych nie ustępowali hitlerowcom. Amerykańska ustawa o kwotach emigracyjnych jest wyrazem poglądu, że nawet narody Europy dzielą się na gatunki lepsze i gorsze właśnie w tej kolejności: narody anglosaskie, germańskie, romańskie, słowiańskie.

Jest rzeczą interesującą prześledzić, jak myśl z intencji niewinna obrasta w nieprzewidziane konsekwencje, a potem toczy się niby lawina, niepowstrzymanie, do nieuchronnej katastrofy i kompromitacji.

Skoro Bóg skazuje człowieka z góry na zbawienie czy potępienie i skoro obecność Bożej Łaski da się wyśledzić w owocach jego pracy, trudno oprzeć się pokusie podpatrywania tajemnic nieodwołalnego wyroku, a także przydawania wysiłku, by pomyślnych oznak było jak najwięcej dla pocieszenia niespokojnego serca. Nie bez przyczyny kraje protestanckie zamożniały i uprzemysławiały się szybciej niż inne. Trudno także oprzeć się pokusie porównywania dzieł swoich z dziełami innych, a w konsekwencji spoglądania na biedniejszych, mniej przedsiębiorczych, czy też nieszczęśliwszych, jako na przeznaczonych z wyroku Opatrzności na sąd i potępienie. Nie bez przyczyny w koloniach protestanckich nie było metysów i mulatów. I nie bez przyczyny „productivity” stała się w nich oznacznikiem wyższości jednej kultury nad drugą, jednego narodu nad innym. Stała się w końcu religią wszystkich materializmów, gdy

źródła teologiczne doktryny zostały zapomniane, a wyniki z niej przeświadczenia okazały swoją samą w sobie użyteczność, a także obrastały w nowe filozofie.

Ale z jakiej przyczyny Polacy doszłusowali do pomysłów obcych, a w dodatku tak dla nich samych upokarzających?!

Rozpatrując sprawę na płaszczyźnie teoretycznej, nasze pretensje do nacjonalizmu niemieckiego sprowadzają się do oburzenia, że Niemcy już nas zaliczali do rasy niższej, podczas gdy my widzieliśmy ją dopiero w Białorusinach, Litwinach, Ukraińcach i Rosjanach. Niemcy uważali germanizację za misję kulturalną, za dobro samo przez się, my — z tą różnicą, że — „polonizację”. Ze wszystkich „mniejszości” w Polsce najlepiej byli traktowani Niemcy. Z niechęcią, ale z respektem. Najgorzej — Białorusini. Bez niechęci, ale z pogarda.

Na podstawie jakiego Lutra czy Kalwina, na podstawie jakich majstrów, fabryk, manufaktur i stalowni dofabrykowaliśmy się tej ideologii?! Na podstawie jakich własnych przesłanek uformowaliśmy nasz nacjonalizm państwowy w sposób urągający wyznawanym zasadom, urągający własnej rzeczywistości, urągający własnej historii i sprzeczny z własnym interesem?! Właśnie: dlaczego krzywdziliśmy?

O, bo my należymy do kultury Zachodu! Gdy więc tylko Jakiś wiatr powieje, zaraz musimy się wypiąć: „I my też!” I my też żądamy kolonii, jak teraz i my też żądamy dekolonizacji. Głośno, w pierwszym szeregu. Nawet bez potrzeby rewizji dawnych przekonań, nawet bez obłudy, nawet bez cynizmu. Manewrując, jak dzieci, sztuką zapomnienia. Przyjmując, jak dzieci, poglądy dorosłych. Jak dzieci należąc zanim rozumieją. Otóż, wydaje mi się, że tak ludzie jak narody, osiągają własną dojrzałość, gdy zaczynają należeć przede wszystkim do siebie. Tzn. gdy ich czyny należą do własnych motywów, i własnych celów, a własne cele należą nie tylko do apetytów, bo i niemowlęta kierują się apetytem, ale poddane są przeświadczeniu o słuszności, słuszności zobiektywizowanej, czyli takiej, którą chcielibyśmy widzieć jako prawo obowiązujące wszystkich. Mam wrażenie, że gdyby każdy Polak, kiedy ma ochotę otworzyć usta dla zadeklarowania naszej przynależności do kultury Zachodu, przypomniał sobie: „Pawiem narodów byłaś i papuga”, wówczas odnaleźlibyśmy szybciej naszą osobowość.

Wiadomości 1962 nr 34 (856), Londyn.